

Karol May



Dolina
Śmierci

cykl Szatan i Judasz

Karol May

Dolina Śmierci
cykl Szatan i Judasz

Tom VII

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Karol May
„Dolina Śmierci”

Copyright © by Karol May, 1926

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy

Projekt okładki: Adam Brychcy

Druk: Zakł. Druk. „Bristol”

Wydawnictwo: Spółka Wydawnicza Orient R. D. Z. East

Warszawa, 1926

ISBN: 978-83-8119-380-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I

DAREMNE ŁOWY

Nie ulegało wątpliwości, że Tomasz Melton ukrył gdzieś rzeczy Huntera, ale gdzie? — odkrycie tego było zadaniem dosyć trudnym. Liczyłem na pomoc, dowcip i przenikliwość Winnetou i Emery'ego. Przedewszystkiem jednak trzeba było sporządzić dokument o sekcji zwłok Huntera. Papier znalazł się w pakach Krüger-beja. Akt został sporządzony w języku angielskim i arabskim i podpisany przez nas wszystkich. Krüger-bej i szeik przypięczętowali podpis swoimi sbawatim^[1]. Ufałem, że dokument będzie uznany za prawomocny w Stanach Zjednoczonych. — Chcieliśmy się już zabrać do szukania rzeczy Huntera, gdy zatrzymał nas szeik:

— Spełniłem swoją powinność i będę spełniał nadal. Ale teraz proszę, abyście i wy uczynili, co do was należy.

— Co masz na myśli? — zapytałem.

— Miałeś nam wydać Uled Ayunów.

— Dostaniesz ich, ale pod warunkiem, że zgodzisz się na okup.

— Godzę się. Przyprawdźcie ich tutaj! Ja tymczasem zwołam zgromadzenie starszych, które oznajmi Ayunom nasze warunki.

Wiedziałem, że tu oczekuje nas ciężka praca. Okazała się o wiele cięższa, niż nawet przypuszczałem. Ayuni uważali, że sto wielbłądów za jedno życie ludzkie to za wiele, stanowczo za wiele. Byli przekonani, że ustąpimy, i targowali się, dopóki nie poznali, że wytrwamy niezłomnie przy warunkach, i dopóki szeik nie oświadczył, że umrą jeszcze przed północą, jeśli będą się

dłużej ociągać.

Aby nie tracić czasu, wysłano dwóch Uled Ayarów z poselstwem do Uled Ayunów. Mieli zawiadomić o tem, co się zdarzyło i co w następstwie uchwalono. Nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Posłowie, którzy przybywają po diyeh, są nietykalni według zwyczaju wszystkich plemion beduińskich.

Elatheh rzeczywiście wyjednałem sto wielbłądzic. Ponieważ Kruger-bej zapewnił ewentualną wojskową pomoc przy ściąganiu okupu, więc była pewna, że je otrzyma. Przyszła do mnie ze swym „panem i władcą” podziękować za uratowanie życia i za „przrzeczone bogactwo”.

Mąż jej był człowiekiem ubogim. Posiadał tę tyko odzież, którą nosił na sobie, a składała się z koszuli bez rękawów i z chusty na głowie. Mimo ubóstwa przemówił do mnie tonem potężnego księcia:

— Effendi, uratowałeś od śmierci moją żonę i dziecko, i oto twoja dobroć zapełni mój namiot bogactwem, którego zresztą jeszcze nie widzę. Moje serce jest przepełnione czułą wdzięcznością. Wiedz, że otaczam cię moją szczególną opieką, póki pozostaniesz między nami.

Rozporządzaliśmy wojskiem o sile czterechset jeźdźców — nie wiedziałem tedy, naco mi się może przydać opieka biednego Ayara. A jednak, nie ma istoty tak, słabej, małej i lichej, aby można było bezkarnie odrzucać jej przyjaźń.

Teraz mieliśmy dosyć czasu, aby odszukać rzeczy Smalla Huntera, lecz godzina była już za późna. Pertraktacje z czternastoma Ayunami trwały tak długo, że upłynął dzień i zbliżała się pora wieczorna. Nie pozostawało nam nic innego, tylko odłożyć poszukiwania do następnego dnia.

Nie śpieszyliśmy się zresztą. Obaj Meltonowie byli dobrze strzeżeni — przy starym czuwali dwaj kawalerzyści, którzy luzowali się co dwie godziny, młody zaś odstawiony został do jeńców Ayunów, pilnie strzeżonych przez Ayarów.

Los Tomasza Meltona przedstawiał się wyraźnie. Odwieziony do Tunisu, będzie tam jako zdrajca zasądzony i stracony. Rodzaj śmierci zależał od orzeczenia baszy. Natomiast przyszłość jego syna była mniej określona. Ponieważ spiskował wraz z ojcem, był zatem współwinowajcą, a więc należało się w każdym razie spodziewać, że droga jego nie będzie usłana różami.

Ubolewałem z całego serca, że nie potrafiłem, uratować Smalla Huntera. Natomiast obaj Meltonowie zostali unieszkodliwieni. Byłem przekonany, iż rodzina Vogel bez przeszkód wejdzie w posiadanie spadku. Kiedy sobie wyobrażałem radość tych ludzi, musiałem uważać wszystkie swoje trudy za niewspółmiernie drobne. — —

Tymczasem podczas dnia wojownicy Ayarów i nasi żołnierze odpowiednio przygotowali uroczystą ucztę pokojową, która miała się odbyć wieczorem. Według zwyczajów tamtejszych żadna uroczystość, żadne ważniejsze zdarzenie nie może się obejść bez hucznej biesiady.

Nasi żołnierze mieli znaczne zapasy suchej żywności. Ayarzy umieścili za wąwozem niewielką, przeznaczoną dla potrzeb wojska, trzodę, która została w ciągu dnia przyprowadzona do obozu. Mieliśmy więc dosyć mięs, mąki, daktyłów i wiele innych produktów. Wody też nie brakowało, gdyż w wąwozie — zapomniałem nadmienić — było źródło, które skłoniło Ayarów do rozłożenia tam obozu jeszcze przed naszym przybyciem. Światła nie trzeba było zapalać, ponieważ księżyc wkrótce wypłynął

i świecił jasno.

Pomijam bez szkody dla czytelnika opis uczyty. Beduin jest w najwyższym stopniu wstrzemięźliwy, ale w podobnych wypadkach potrafi pochłaniać wprost zadziwiającą ilość wszelakiego jadła. Nie myślano o oszczędności — wszak wiadano, że wkrótce nadejdą wielkie trzody Ayunów.

Wrzawa i ożywienie ucichły dopiero po północy. Więcej niż nasyceni pokładli się w grupach żarłocy do snu. Po chwili zaległo milczenie. Ja i Winnetou dostaliśmy wspólny namiot.

Zanim się położyłem, obszedłem obóz i odwiedziłem obu Meltonów. Pod pieczę wartowników nie dawali powodu do troski. Kiedy wróciłem do namiotu, zobaczyłem siedzącego pod nim Beduina, w którym poznałem męża Elatheh.

— Co tu robisz? — zapytałem.

— Czuwam, effendi, — odpowiedział.

— Trud twój zbyteczny. Połóż się spać!

— Effendi, jeśli będę spał w dzień, w nocy będę mógł czuwać. Jesteś pod moją pieczę.

— Ależ człowieku, nie potrzebuję jej wcale!

— Skąd wiesz? Tylko Allah może wiedzieć! Mam ci tyle do zawdzięczenia, a jestem tak ubogi, że nie mogę nic podarować. Wyświadcz mi łaskę i pozwól czuwać! Wszak nie stać mnie na nic więcej!

— No, więc dobrze. Nie chcę zasmucać cię odmową. Niech Allah będzie z tobą, mój strażniku i przyjacielu!

Podąłem mu rękę i wszedłem do namiotu. Miano przyjaciela uszczęśliwiło go ponad wszelki wyraz.

Winnetou był także zmęczony, gdyż nocy poprzedniej spał

niewięcej, niż ja. Wkrótce zasnęliśmy. Blisko trzeciej po północy, a więc niebardzo długo potem, przebudził mnie okrzyk z poza namiotu:

— Kto tam? Wróć!

Wysłuchałem się uważnie. Winnetou zerwał się również

— Wróć! — zabrzmiało po raz drugi.

Wyszliśmy z namiotu. Mój przyjaciel i strażnik stał i wsłuchiwał się w ciszę nocną. Księżyc już zaszedł.

— Co się zdarzyło? — zapytałem.

— Siedziałem przy drzwiach i czuwałem — odpowiedział. — Nagle zauważyłem jakiegoś człowieka, który czołgał się na czworakach. Kiedy zawołałem, zniknął szybko. Podniosłem się i obszedłem namiot. Z drugiej strony zobaczyłem innego, który również zerwał się i uciekł.

— A może to były zwierzęta?

— Jakie zwierzęta! To byli ludzie, którzy przyszli tutaj w złych zamiarach.

— Nie sądzę. Jesteśmy wśród przyjaciół.

— Wiesz na pewno? Allah tylko może wiedzieć! Ale wróć do namiotu i śpij spokojnie. Czuwam nad tobą.

Wróciłem do namiotu, pewny, że Beduin się omylił. Winnetou był tego samego zdania.

Wkrótce zmożył nas sen. Lecz po godzinie obudził nowy zgiełk. Chwyciliśmy za broń wyszli z namiotu.

Na wschodzie rozlało się światło jutrzeńki. Rozjaśniło się całkowicie. Pierwszym, którego zauważyłem, był Krüger-bej, pędzący ku naszemu namiotowi. Z podniecenia krzyczał po niemiecku i niemal bez tchu:

— Jeńcy uciekli, zabierając trzy wielbłądy!

— Jacy jeńcy? Mamy rozmaitych, Meltonów i czternastu Ayunów. O kim pan mówi?

— Nie Ayuni!...

— A zatem Meltonowie? Do pioruna! Musimy pędzić za nimi! Ale oto pańscy ludzie biegną w rozsypkę i zacierają ślady. Rozkaż pan, aby każdy zatrzymał się na miejscu, na którym teraz stoi!

Rozkaz został rozgłoszony iście gromowym głosem, poczem zapanował zupełny spokój. Szeik i Emery przybiegli także i oto co opowiedział Krüger-bej:

— Kiedy dwaj strażnicy przyszli przed dziesięciu minutami zastąpić swoich kolegów, nie zastali już kolorasiego Meltona. Jego więzy leżały na ziemi obok martwego strażnika. Pierś ma przebitą nożem.

— Czy nieboszczyk jeszcze tam leży? — zapytałem.

— Tak.

— Chodźmy!

Leżał biedny człeczyna. Klinga dotarła do samego serca. Nie zdążył zapewne nawet słowa powiedzieć, nawet krzyknąć. Najdziwniejsze jednak było to, że dopiero po tem odkryciu spostrzeżono nieobecność młodego Meltona. Poza tem zniknęły trzy najlepsze wielbłądy.

Winnetou nie rozumiał ani słowa. Spojrzał na mnie pytającym spojrzeniem. Wyjaśniłem mu to nowe, niezbyt miłe zdarzenie. Opuścił głowę, namyślał się przez chwilę, poczem rzekł:

— Jeden ze strażników nie żyje. Gdzie jest drugi?

— Zwiął! — odpowiedział Krüger-bej, któremu

przetłumaczyłem pytanie.

— A zatem był w zмовie z Meltonem! — rzekł Apacz. — I dlatego właśnie Melton powiedział, że nie jest tak bezbronny, jak przypuszczasz.

— Słusznie — potwierdziłem. — My obaj, dzięki przezorności naszego strażnika, uszliśmy wielkiego niebezpieczeństwa. Meltonowie podkradli się do naszego namiotu, aby się zemścić, zostali jednak odpędzeni przez tego dzielnego człowieka.

— Musimy ich ścigać!

— Tak, i to natychmiast. Niestety, zabrali najlepsze wielbłądy. Trzeba się zadowolić gorszemi.

Zakomunikowałem Panu Zastępów nasze postanowienie i prosiłem, aby wyszukał trzy najlepsze zwierzęta i zaopatrzył nas w żywność i wodę na kilka dni.

— Tylko trzy? Czemu nie więcej?

— Ponieważ tylko we trzech pojedziemy — ja, Winnetou i Emery.

— A ja nie?

— Nie. Masz inne obowiązki. Musisz zostać przy wojsku.

Kiedyśmy rozmawiali ze sobą po niemiecku, mówiliśmy do siebie przez pan, ale po arabsku tykaliśmy się, ponieważ odpowiada to bardziej duchowi tego języka.

— W takim razie dam wam kilku dzielnych oficerów i żołnierzy.

— I na to się nie godzę. Cała nadzieja w pośpiechu. Zbyt wielu towarzyszy może być tylko przeszkodą. Skoro my trzej będziemy dosiadali najlepszych wielbłądów, inni wnet pozostaną za nami i nie przydadzą się zatem. Tak już wypada, żebyśmy we

trzech pojechali. — Nakaż swoim pośpiech!

Wykonał prośbę. Winnetou wyszedł z obozu i tropił ślady. Wrócił wnet i oznajmił:

— Pojechali na północ.

— A zatem w kierunku Tunisu — mniemał Krüger-bej. — Można to było przewidzieć.

— Nie — odpowiedziałem. — Mogę się założyć, że nie jadą do Tunisu, albowiem nie jest to dla nich miejsce bezpieczne. Znają tam Meltona i gdy przybędzie pościg, sprawa może wziąć dlań zły obrót.

— Ale wiesz przecież, że chciał jechać do Tunisu!

— Chciał, owszem, ale teraz już nie chce. Wówczas warunki były inne. Teraz wie dobrze, że Emery, Winnetou i ja natychmiast puścimy się za nim i będziemy ścigali do samego Tunisu. To jest pewne. I wie również, że jeśli nie znajdą okrętu, bezzwłocznie wypływającego na morze, to przepadły ptaszki z kretesem. O nie — nie pojedzie do Tunisu, tylko do portu zatoki Hammamet, jako do najbliższej.

— Lecz Winnetou powiedział, że pojechali na północ!

— Nie wywiedzie mnie w pole. Melton przez dłuższy czas żył wśród westmanów i myśliwych, zna więc fortele prerji, aczkolwiek nie jest w nich mistrzem. Zamierza wyprowadzić nas na manowce i dlatego z początku pojechał na północ, abyśmy go ścigali w tym kierunku. Później, na terenie twardym, nie zachowującym śladu wielbłądów, zbcoczy na wschód.

— Lecz w Tunisie znalazłby pieniądze. Tu, w zatoce Hammamet, nie ma takiego człowieka, od którego mógłby co wydostać.

— Naco mu to? — Przedewszystkiem syn jego ma nieco gotówki. Nie odebrałem mu, ponieważ nie spodziewałem się takiego obrotu rzeczy. Po drugie, Small miał przy sobie zapewne grubą kwotę.

— Ale nie posiada jej Melton! Wszak przy rewizji nic nie znaleziono.

— Na pewno gdzieś schował i zabrał, zanim drapnął. Oto już i nasze trzy wielbłądy, osiodłane i objuczone. Możemy wyruszyć w drogę.

— Kiedy wrócicie?

— Kiedy ich schwytamy.

— Nie bądźże zbyt dufny w powodzenie! Pomyśl, że mają zwierzęta bardziej ręczne i że wyprzedzili was o szmat drogi.

— To prawda. Stracimy także wiele czasu na wytropienie śladu, podczas gdy oni mogą jechać wciąż naprzód, nie oglądając się za niczem. Ale mimo to schwytamy ich — możesz na nas polegać. A jeśli nie tu, to już na pewno w Ameryce.

— Maszallah! Aż tak daleko zamierzacie ich ścigać?

— Tak daleko, aż ich schwytamy.

— Ale jeśli się wam tutaj nie powiedzie, to wszak przed opuszczeniem kraju wpadniecie do Tunisu?

— Nie możemy tego przewidzieć. Bądź co bądź wielbłądy otrzymasz zpowrotem. O to już się postaram.

— Drobnostka! Byleby tylko łajdaki nie uciekły! Czy znasz drogę do zatoki Hammamet?

— Stąd nie znam, ale wnet znajdziemy. Naszym przewodnikiem, i to wyśmienitym, będą ślady zbiegów. Zaprowadzą nas najpewniej do celu.

— Jednakże udzielę ci kilku wskazówek. Prosta droga stąd do Hammametu prowadzi przez Wadi Budawas, przez ruiny el Khima i poprzez Dżebel Ussala do okolicy nadmorskiej. Beduini, których spotkasz po drodze, będą to Meidżerzy, Ussala i Uled Saïdzi, bardzo pokojowo usposobione plemiona, które się na was nie targną, skoro podacie się za moich przyjaciół.

Przy wyszczególnieniu tych plemion zapomniał o, jednym, najważniejszym, co w następstwie pociągnęło za sobą poważne skutki. Mam na myśli wrogich nam Uled Ayunów, od których zażądaliśmy wygórowanego okupu. Paśli swoje trzody aż po Wadi Budawas, gdzie się spotykali z Meidżerami. O tem Pan Zastępów zapomniał, wskutek czego nie podejrzewałem nawet, że możemy się zetknąć z tymi ludźmi.

Okoliczności nie pozwalały nam długo się żegnać. Po kilku minutach pojechaliśmy. Panu Zastępów markotnie było się rozstać, skoczył więc na konia i towarzyszył nam przez pół godziny. Chciał jeszcze pouczyć i udzielić pożytecznych rad i wskazówek. Ale nie mogliśmy nań zważać, gdyż skupiliśmy całą uwagę na tropieniu śladu, który tutaj, między skałami, był widoczny jedynie dla wprawnego oka westmana. Beduin na pewnoby go nie znalazł. Rozumiejąc to, Pan Zastępów, podniósłszy się w strzemionach, podał mi rękę i pożegnał. — —

Skorośmy wyjechali z warru i znaleźli się na otwartej równinie, spostrzeżliśmy ze zdumieniem człowieka, który stał, bezradnie oglądając się pośród niezmierzonej samotności. Zauważył nas i zaczął uciekać, ale wnet się zatrzymał. Zrozumiał snać, że nie ukryje się przed nami. Piechur tutaj, w tej pustyni, był zjawiskiem nader dziwnem.

Wkrótce przestaliśmy się dziwić. Zbliska poznaliśmy

z uniformu, że jest to jeden z naszych kawalerzystów.

— Zbiegły wartownik, — rzekł Emery.

— Bezwarunkowo — potwierdziłem.

— Ale dlaczego tu stoi?

— Został zdradziecko porzucony. Trzeba znać Meltona. Aby się uwolnić, przyrzekł strażnikowi złote góry, lecz, uwolniwszy się, wydał go na sztych.

— Biada temu żołnierzowi! Co teraz poczniesz?

— Zobaczymy.

— Dezercja i uwolnienie więźniów. Będzie na pewno rozstrzelany. Czy chcesz go ocalić?

— Zależy, jak się zachowa.

— Ale ocalić go będzie trudno.

— Nie. Krüger-bej nie odmówi mej prośbie.

Skorośmy dojechali do żołnierza, rzucił się przed nami na klęczki, wyciągnął ręce do góry i zawołał błagalnie:

— Łaski, effendi, łaski! Jestem już dosyć ukarany!

Zwrócił się do mnie, ponieważ wiedział, że Pan Zastępów najwięcej ze mną obcował. Nie był widocznie do gruntu złym człowiekiem, gdyż błagając o łaskę, przyznał się do winy. Jednakże odpowiedziałem surowo:

— Dość ukarany? Jesteś dezercerem, dezercerem z pola! Wiesz jaka grozi ci kara?

— Śmierć.

— Ale oprócz tego uwolniłeś jeńców. Za to, przed rozstrzelaniem, zostaniesz wychłostany.

— Wiem o tem, lecz, o effendi, twoje słowo znajduje posłuch

u Pana Zastępów. Błagam cię, wstaw za mną!

— Opowiedz przedewszystkiem, jak się to odbyło?

— Przyszliśmy doń we dwóch, Ja usiadłem, a kolega chodził tam i zpowrotem. Kiedy się oddalał od nas, nie mógł słyszeć, jak kolorasi do mnie szeptał.

— Co ci mówił?

— Zażądał swego pakietu.

— Jakiego pakietu?

— Pakietu, który mi wręczył.

— Ah! Kiedy?

— Kiedyście okrążyli Uled Ayarów. Moi koledzy leżeli jako jeńcy w wąwozie, ja jednak nie znajdowałem się przy nich, gdyż byłem ordynansem kolorasiego. Uwolniliście jeńców i zaczęliście się układać z szeikiem. Następnie szeik wrócił do wąwozu, a wówczas kolorasi rzekł do mnie gniewnie: — Teraz stracona wszelka nadzieja! Ten pies namówi Ayarów, aby wydali mnie Krüger-bejowi! — Wręczył zawiniątko, kazał mi skrycie przechowywać i poszedł do szeika. Wkrótce sprowadzono go związanego i pokiereszowanego. Uwięziono go. W pewnej chwili kazał mi odejść, gdyż spodziewał się, że przyjdiesz i obszukasz go, a zatem mogłeś mnie również zrewidować. Oddaliłem się, ale nakazał mi zawsze mieć przy sobie zawiniątko.

— Dlaczego?

— Abym mógł mu je każdej chwili zwrócić.

— Czy mówił, co zawiera paczka?

— Tak. Prawdziwy Koran z Mekki i kilka frendzli z chusty grobowej El Waïba z meczetu Okba w Kaïrwanie.

— Nader świątobliwe relikwje!

— Ale był to fałsz!

— Wiem. Jakże się dowiedziałeś o tem?

— Od niego samego. Kiedy strzegłem go w nocy, oświadczył, że paczka nie zawiera relikwii, tylko pieniądze, wiele, wiele pieniędzy. Przyrzekł za uwolnienie z więzów pięć tysięcy piastrów.

— Nie musiał ci chyba dopiero obiecać! Miałeś wszak tę całą paczkę w kieszeni.

— Nie mogła mi się przydać — tak mówił przynajmniej. W paczce nie było zwykłych pieniędzy, ale papiery, które osobiście musiał zamienić u serafiego^[2] w Tunisie, gdyż nikt inny nie dostałby za nie złamanego szeląga. Miałem z nim uciec do Tunisu i otrzymać pięć tysięcy piastrów natychmiast po wymianie papierów.

— Ta suma cię olśniła, co?

— Tak, effendi. Biedny żołnierz baszy a pięć tysięcy piastrów! Przysięgał na Mohammeda i wszystkich kalifów, że dostanę całą sumę zaraz po przybyciu do Tunisu.

— Przysięga nie wiąże go, albowiem nie jest muzułmaninem, tylko niewiernym, poganinem, który w nic nie wierzy.

— Bodajbym wiedział! Zaufałem mu i rozwiązałem ręce. Poczem dałem nóż.

— A twój towarzysz?

— Widział nas, lecz nic podejrzanego nie dostrzegł. Umówiłem się bowiem z kolorasim, że uwolni się dopiero po zmianie warty. Ale nie dotrzymał słowa. Ledwie dostał nóż, gdy odciął się od pała, oswobodził nogi, ale leżał tak, jakgdyby był jeszcze skrupowany. Po pewnym czasie kolega mój do nas się

przysiadł. Wówczas kolorasi znienacka rzucił się nań i zatopił nóż w sercu.

— To straszne! Cóż ty uczyniłeś?

— Chciałem krzyczeć, ale z przerażenia uwiązł mi głos w gardle. Usiłowałem mnie uspokoić — nadaremnie. Wówczas zaczął mi grozić. Mój własny nóż tkwił w sercu mego kolegi. To świadczyło przeciwko mnie. Zginąłbym, gdybym pozostał. Musiałem więc, musiałem — — z nim uciekać!

— Ale nie uciekliście od razu?

— Nie. Wyszedł, a ja miałem czekać. Wkrótce nadszedł z tym młodym człowiekiem, który również uciekł. Jak go uwolnił — nie wiem. Wyszliśmy z namiotu, osiodłali trzy najlepsze wielbłądy Pana Zastępów i wyprowadzili z obozu. Ja zostałem przy zwierzętach, oni zaś wrócili jeszcze do obozu, aby się z tobą załatwić.

— Skąd wiesz o tym?

— Domyśliłem się z ich słów, pełnych wściekłości.

— Tak, chcieli mnie zamordować, ale przeszkodził im strażnik, który czuwał przed moim namiotem.

— Pomyślałem to od razu, słysząc kilka głośnych okrzyków i widząc, jak pędem wracają, miotając gęste przekleństwa. — Dosiedliśmy wielbłądów i pojechali.

— Czy rozmawiali ze sobą po arabsku?

— Tak, z początku. To było nieroztropne z ich strony, gdyż słyszałem rzeczy, których nie powinienem był dla ich dobra słyszeć. Ale później posługiwali się językiem, z którego ani słowa nie rozumiałem.

— Czy wiesz, dokąd dążą?

— Do Tunisu.

— Nie wierzę. Tak samo pojedą do Tunisu, jak ty dostaniesz swoje piastry.

— O, ja nic nie dostanę! Oszukali mnie, wywiedli w pole! Niedaleko stąd zsiadli z wielbłądów i kazali mi to samo uczynić. Skoro stanąłem na ziemi, rzucili się na mnie i rozbroili całkowicie. Nadmiar skierowali we mnie lufy strzelb, tak że musiałem czem prędzej umykać. Wówczas wsiedli zpowrotem na zwierzęta, ujęli mego wielbłąda za olstro i, śmiejąc się, odjechali. O, effendi, bodajbym nie obdarzał tak wielkiem zaufaniem kolorasiego, tego niewiernego, tego zatraconego poganina!

— Jest to zgoła fałszywy żal. Nie zaufanie cię unieszczęśliwiło, tylko chciwość i brak dyscypliny. Powinieneś być zawołać: — O, bodajbym pozostał wierny obowiązkom! — Jesteś sprawcą dwojga przestępstw. Co zamierzasz uczynić?

— Więc nie zaaresztujesz mnie?

— Nie. Nie jestem twoim przełożonym, ani policjantem, ani też sędzią. Możesz sobie odejść, dokąd zechcesz. My cię nie zatrzymujemy.

— Dzięki ci, effendina! Twoja dobroć jest szersza niż pustynia, a łaska twoja wyższa nad niebo. Ale dokąd ja pójdę? Nie mam ani wody, ani żywności, ani pieniędzy, ani broni. Nie mam też konia, czy wielbłąda. Kto mię przyjmie? Jestem dezserterem, a zatem wszystkie plemiona, płacące haracz baszy, raczej wydadzą mnie, niż przyjmą do swego grona. Kolorasiemu winien jestem, że zostałem najniezwyklejszym na świecie człowiekiem!

— Nie kolorasi — ty sam jesteś sprawcą własnej niedoli! Ale

że żałujesz swych czynów i że dowiedziałem się od ciebie pewnych rzeczy, przeto wskażę ci wyjście. Wróć do Pana Zastępów. Dam kartkę, w której polecę cię jego łaskawości. Przypuszczam, że ukarze cię łagodnie.

— Uczyń to, effendi, uczyń! Twoje słowa niosą ulgę mojemu skołatanemu sercu i krzepią moją duszę.

Emery zwrócił się do mnie po angielsku:

— Głupstwo! Albo wcale nie pomagajmy, albo pomóżmy do końca. Ten drab nie jest złym człowiekiem. Jeżeli wróci do Krüger-beja, to wprawdzie, dzięki twemu wstawiennictwu, nie rozstrzelają go, ale, co najmniej, obetną nos i uszy, lub wyłożą skórę, poczem wypędzą na cztery wiatry. Cóż tedy poczniesz? Pominę już, że tem poleceniem wtrącisz Pana Zastępów w rozterkę z obowiązkiem. Przez wzgląd na ciebie będzie musiał ułaskawić przestępcę, wszyscy zaś żołnierze wiedzą, że powinien ukarać go surowo. Wystawiasz na szwank jego honor wobec wojska. — Jak daleko stąd do granicy Algeru?

— Jeśli można ominąć wioski i studnie, to bardzo niedaleko. Drogę karawanową, gdzie się znajduje miejscami woda i wioski, w których można kupić lub dostać żywność, piechur przejdzie w dwadzieścia godzin.

— Czy wpobliżu są jakieś placówki francuskiej armji?

— Tak, w Tybesie. Stąd — dwadzieścia cztery godziny drogi.

— Tam go poślij! Dam mu pieniądze. W Tybesie zaś zaciągnie się do wojska zwycięskiej Francji.

Wyciągnął sakiewkę i rzucił dezenterowi kilka monet.

— Czy znasz drogę do Lheis — zapytałem żołnierza.

— Tak.

— Idź do Lheïs. Stamtąd pójdiesz poprzez Zausir, Thaleh i Hydre do Keïfah, która należy już do Algerji. Wpobliżu znajduje się małe francuskie garnizonowe miasto Tybesa. Tam będziesz się mógł zaciągnąć do wojska francuskiego, jeśli nie zechcesz czem innem się zająć. Ponieważ jesteś żołnierzem, więc chętnie będziesz widziany. Stąd do Tybesy prowadzi droga karawanowa, a zatem nie zaznasz głodu, ani pragnienia.

Przypisy

[1].Sygnet.

[2].Bankier.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

